

Jerzy Bajda

„Seks” w ujęciu o. Ksawerego Knotza OFM Cap : recenzja książki: Ksawery Knotz OFM Cap, „Seks jakiego nie znacie. Dla małżonków kochających Boga”, Częstochowa 2009

Studia nad Rodziną 13/1-2 (24-25), 346-358

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

wyznawcą Chrystusa. Człowiekiem szczęśliwym pośród całego zła i chaosu świata. Sam to poświadczył w następujących słowach: „Kocham wolność głoszoną przez Chrystusa, którą trzeba proponować, a nie narzucać.

Wiem, że nie ma prawdziwej cnoty bez możliwości wybrania grzechu. Podoba mi się życie jako przygoda, gdzie wpadają na siebie święci i łajdacy, gdzie stają naprzeciw siebie dobro i zło. Kocham metropolie, asfaltowe dżungle, dużo bardziej niż społecznie kontrolowane wioski. Podoba mi się wrzenie wielkich miast, gdzie historia powstaje w wyniku niekończącego się splotu wolnych ludzkich relacji [...] Wszystkie moje książki napisałem zresztą z myślą o człowieku zsekularyzowanego miasta, a nie o tych, którzy tęsknią na nieistniejącym chrześcijaństwie”.

Ewa Polak-Palkiewicz

„Seks” w ujęciu O. Ksawerego Knotza OFMCap. Recenzja książki: Ksawery Knotz OFMCap, „Seks jakiego nie znacie. Dla małżonków kochających Boga”, Edycja św. Pawła, Częstochowa 2009, 216s.

Książka O. Ksawerego Knotza pt. „Seks jakiego nie znacie. Dla małżonków kochających Boga”, wzbudziła żywe zainteresowanie wielu małżonków, ale także sprowokowała pewne wątpliwości i pytania.

1. Tytuł książki

Tytuł tej książki o tyle zasługuje na uwagę, że w książce o profilu zasadniczo moralno-pastoralnym, a nawet sterującym ku wyżynom mistycznej duchowości, zostaje użyte słowo „seks”, które jest proweniencji skrajnie laickiej, a ma tutaj na celu objęcie całego zakresu problematyki życia małżeńskiego. Uważam, że podciągnięcie całej problematyki teologiczno-moralnej małżeństwa pod termin „seks” jest nieporozumieniem. Być może Autor chciał przez ten zabieg terminologiczny nadać swej pracy charakter bardziej popularny, zachęcający do zaznajomienia się z tematyką trudną, a przecież bardzo życiową. Rzeczywiście, dzięki temu książka stała się bardziej znana, ale też stała się obiektem złośliwej ironii ze strony publicystów usadowionych „z tamtej strony barykady”.

Należy pamiętać, że słowo „seks” wylansowane w okresie rewolucji seksualnej jako termin techniczny i jako słowo „klucz”, oznacza zacieśnioną interpretację życia seksualnego człowieka, w taki sposób, że odrywa aktywność płciową od całego kontekstu antropologicznego, przede wszystkim od

małżeństwa i jego wewnętrznego etosu, związanego ściśle z wymiarem sakralnym powołania małżeńskiego. Wskutek tego zabiegu interpretacyjnego „seks” staje się zjawiskiem neutralnie moralnym, a przede wszystkim staje się czynnością traktowaną wyłącznie rzeczowo, niemal technicznie, czyli oznacza urzeczowienie sfery płciowej.

Wskutek tego ci, którzy usiłovali nadal uprawiać seksuologię w sposób odpowiadający założeniom antropologicznym i personalistycznym, odcięli się od języka „seksu”, nazywając wszelkie sposoby traktowania o „seksie” jako „seksologię”, w odróżnieniu od „seksuologii”. W ten sposób obrońcy tradycyjnego, to jest osobowo-etycznego widzenia płciowości ludzkiej, nazywali „seksologami” tych wszystkich, którzy uprawiali propagandę „seksu” w duchu ideologii Alfreda Kinseya. Oczywiście nie wszyscy, którzy poszli za modą „seksuologii”, utożsamiają się z założeniami ideologicznymi tego języka, jednak nie da się ukryć, że jest to język definitywnie obciążony tym „zбочeniem” interpretacyjnym i dlatego rozsądny teolog, wykładający naukę chrześcijańską powinien tego terminu unikać.

2. Obecność Boga w małżeństwie

Obecność Boga w małżeństwie została w książce potraktowana jako łącznik do „mojego seksu”. Tak to wynika z tytułu rozdziału, który brzmi: „Co ma Bóg do mojego seksu?” Jest to niewątpliwie pewien chwyt stylistyczny czy retoryczny, mający na celu zaciekawienie czytelnika. Ale temat jest za poważny, aby go traktować wyłącznie w ramach zabiegu uatrakcyjniającego wykład. W istocie w książce jest za mało podkładu dogmatyczno-teologicznego. Pan Bóg od razu zostaje sprowadzony na poziom seksualnego przeżycia jedności małżeńskiej. W rezultacie to, co proponuje Autor, to jest wykład seksuologii chrześcijańskiej, usytuowanej na krawędzi hedonizmu, ozdobionej wstawkami pseudo-mistycznymi, które mają przekonać czytelnika, że „seks” w małżeństwie jest bezwarunkowo „rzeczą dobrą” a nawet świętą. Jest to dość poważny problem, który oceniam jako rozminienie sakramentu „na drobne”, ze szkodą dla tego niepojętego Misterium, którym jest „Sakrament Wielki” (por. Ef 5,32).

Żeby wprowadzić czytelnika w klimat religijny, a zwłaszcza mistyczny, należy wskazać najpierw na to, w jaki sposób objawiła się na ziemi rzeczywistość sakramentu małżeństwa. W tym celu koniecznie należy zwrócić uwagę na Tajemnicę Świętej Rodziny, w której Sakrament został ukonstytuowany zarówno historycznie, jak i eschatologicznie, przez zamieszkanie Słowa Wcielonego – nie tylko w Domku Nazaretańskim, nie tylko w „Rodzinie Świętej” rozumianej jako wspólnota osób, ale w samym sercu małżeństwa

Maryi i Józefa. Ci Dwoje znaleźli w tym zbawczym wydarzeniu nie tylko swoje ostateczne powołanie, nie tylko spełnienie Pięknej Miłości, ale i drogę zbawienia, będącą źródłem i wzorem dla całego Kościoła i dla wszystkich, którzy będą realizować ideał Kościoła domowego. Czyż nie należało przypomnieć tego, co Jan Paweł II napisał w *Liście do Rodzin* na temat „pięknej Miłości”? Nie można pisać poradnika duszpasterskiego poświęconego powołaniu do świętości w małżeństwie, pomijając zawarte przez papieża w *Liście* prawdy, napisane dla pożytku duchowego wszystkich małżeństw: „Tajemnica Wcielenia, a wraz z nią również tajemnica Świętej Rodziny, zostaje gruntownie wpisana w oblubieńczą miłość mężczyzny i kobiety, a pośrednio w genealogię wszystkich ludzkich rodzin. To, co kiedyś Paweł nazwie «wielką tajemnicą», znajduje w Świętej Rodzinie swój najwyższy, historyczny wyraz” (LdR 20). Maryja i Józef byli najdoskonalszym małżeństwem, mimo, że nie używali „seksu”. Byli żywym objawieniem Wielkiej Tajemnicy, ponieważ Chrystus nieskończonym bogactwem Swego Przyjścia i Swjej Obecności napełnił ich życie do końca i rozszerzył ich serca, aby byli zdolni przyjąć do swego wnętrza niepojęty dar Miłości pochodzący od Ojca Niebieskiego. Zostali wyróżnieni przez Boga tym, że oni tylko sami mogli osobiście przyjąć Chrystusa i wzajemnie się Nim obdarowywać, zapowiadając profetycznie postać wiekuistego dialogu Miłości, do której zostaje powołane małżeństwo w Królestwie Chrystusa. Ta Wielka Tajemnica pełna niepojętej Miłości, zawiera w swoim centrum Krzyż i to jest ten znak charakterystyczny, po którym poznaje się prawdę Miłości: *Caritas in Veritate*. Chrystus umiłował Kościół, swoją Oblubienicę, ponieważ poświęcił się, aby ją uświęcić i uczynić bez zmazy (por. Ef 5,25). Odtąd jest to obowiązujący wzór Miłości oblubieńczej kształtującej się na gruncie Sakramentu. Dlatego Jan Paweł II napisał także: „[Małżonkowie] albo stają się jej uczestnikami, albo też w ogóle nie wiedzą, co to znaczy miłość” (LdR 19).

3. „Brakujące ogniwo”. Problem etyki miłości

W trakcie lektury książki narzuca się z uporem myśl o pominięciu pewnego szczebla w konstruowaniu tych „schronów doskonałości”, które wiodą do niezamąconego szczęścia na ziemi. To, co pominięto, to wychowanie do miłości przez czystość. Brakuje w konstrukcji książki tego wszystkiego, co zawiera się w traktacie Karola Wojtyły „Miłość i odpowiedzialność”. Dopiero bowiem na tym fundamencie, jaki buduje Karol Wojtyła w swoim wykładzie, można opierać dalszą konstrukcję, czyli wychowanie do dojrzałej miłości małżeńskiej. W książce O. Ksawerego Knotza – takie się odnosi wrażenie – jest widoczny przeskok: od „seksu” do mistyki. Miłość małżeńska zosta-

je niemal utożsamiona z aktem zjednoczenia seksualnego, a ekstaza seksualna zostaje pojęta jako najwyższy wyraz szczęścia na ziemi, co więcej – jako przedsmak szczęścia wiecznego (zob. s. 49).

Istotnie w okresie rewolucji seksualnej – a nawet nieco wcześniej pod wpływem modernizmu - próbowano wyakcentować i wyeksponować znaczenie ekstazy seksualnej jako znaku „spełnienia osoby”, a nawet jako momentu „mistycznego”, w którym człowiek dotyka jakiejś nadziemskiej tajemnicy i zaczyna kosztować słodyczy nieba. W naszej kulturze w pierwszej połowie XX wieku zbiegły się dwa czynniki dążące do osobliwej sublimacji i nadinterpretacji „seksu”: rozwój filozofii w kierunku afirmacji podmiotu przy równocześnie subiektywistycznej interpretacji miłości oraz wpływ kierunków orientalnych opartych na podłożu panteistycznym i gnostyckim, które sprzyjały tworzeniu klimatu pseudo-mistycznego wokół „seksu”. Te ostatnie prądy zreferował z dużą dozą afirmacji filozof włoski Julius Evola w książce „Metafisica del sesso” (Roma 1984). Na tej fali pseudo-mistycznej pojawił się także kierunek satanistyczny, którego przerażającym reprezentantem był Aleister Crowley (o nim także pisze wspomniany autor).

Sprawa jest o tyle poważna, że jeżeli się nie zdefiniuje prawidłowo miłości w ujęciu filozoficznym (etyczno-personalistycznym) z uwzględnieniem relacji do tajemnicy Stworzenia, wtedy rzeczywistość seksualna potraktowana autonomicznie, narzuca nieomylnie interpretację miłości zdążającą ku swej absolutyzacji (tego, co się uważa za miłość) i tym samym pozbawioną odniesienia do kryteriów etycznych i teologicznych. W tym świetle łatwo zrozumieć, dlaczego publicyści, a nawet etycy uprawiający po II Soborze Watykańskim swoistą apologię „seksu” i głoszący swoistą „kanonizację orgazmu” (G. Ermecke mówił o „Orgasmushagiographie”), równocześnie usiłowali przekonać Kościół i duszpasterzy, że tego wielkiego dobra nie wolno gasić przez sztywne „zakazy” dotyczące „kontroli urodzeń” i dlatego trzeba zezwolić na antykoncepcję. Istotnie, jeśli ktoś wierzy, choćby na gruncie samej psychicznej intensywności przeżycia, że „seks” jest tak niezwykłym i wzniosłym dobrem, to wtedy nie pojmuje, jakie uzasadnienie mogą mieć jakiegokolwiek zakazy dotyczące antykoncepcji. Nie można się dziwić ludziom prostym, skoro nie rozumieli tego tacy moralisci, jak Haering czy Boeckle. Dlatego także słabością omawianej książki O. Ksawerego jest brak podkładu filozoficzno-etycznego, który umożliwia zrozumienie istoty granicy między dobrem i złem. Na pewno ludzie szczerze miłujący Boga skłonni są przyjmować wskazania głoszone przez Kościół, ale człowiek ma prawo rozumieć, dlaczego coś jest zgodne lub niezgodne z istotą miłości, czy godnością człowieczeństwa.

4. Duszpasterz, czy doradca seksualny

Cała kompozycja książki budzi takie właśnie ambiwalentne odczucia. Bardzo wiele informacji dotyczy tego, jak rozbudzić popęd, jak wywołać pełne przeżycie seksualne, jak nie utracić tej szansy, jaką jest specyficzna dla „seksu” przyjemność, jak ewentualnie ratować więź małżeńską przez ocalenie wzajemnego zainteresowania seksualnego. Wiele tu elementów należących do „gry” i do „techniki przeżywania miłości”, wiele informacji z dziedziny kosmetyki i *ars amandi*, nawet księga *Pieśni nad Pieśniami* zostaje zinterpretowana jako poradnik dla amantów, choć Jan Paweł II dopatrywał się tam głębszych przesłanek antropologicznych przez umieszczenie tej oryginalnej księgi w kontekście teologii Stworzenia. Narzuca się natrętnie analogia do współczesnej filozofii reklamy posługującej się „wabikami”: firma, która reklamuje nowy model samochodu, spodziewa się większego popytu, jeżeli na fotografii tego modelu umieści piękną „miss” siedzącą na masce samochodu. Trochę tak O. Ksawery Knotz reklamuje miłość małżeńską odślaniając magazyn z „intymnościami”. To wszystko jest na coś potrzebne i ma sens w jakimś kontekście, ale gdy podręcznik pisze duszpasterz i w dodatku jeszcze zakonnik, współbrat św. Ojca Pio z Pietralciny, to zastanawiamy się, czy nie przekroczono tu jakiejś granicy.

5. Moralność i metoda

Autor dotyka pewnych klasycznych trudności doświadczanych przez małżonków i próbuje pokazać drogę do ich rozwiązania. Taką trudnością, na którą zwłaszcza mężczyźni nie są przygotowani, jest niespodziewana, nieplanowana z góry, konieczność powstrzymania się od aktów seksualnych z powodu ciąży, porodu czy zdrowotnych, ujemnych konsekwencji macierzyństwa kobiety. Mąż czuje się odepchnięty, niedowartościowany, ponieważ żona musi po prostu zajmować się dzieckiem. Mąż zwykle nie rozumie, że obowiązki w małżeństwie są rozłożone proporcjonalnie na udział obojga w integralnie pojętym powołaniu rodzicielskim. Konieczne jest, aby ciężarowi spoczywającemu na barkach kobiety odpowiadał odpowiednio ciężki obowiązek spoczywający na sercu i sumieniu mężczyzny. Ofiara, jaką ponosi kobieta, musi znaleźć równowagę w gotowości do ofiary po stronie mężczyzny. Byłoby czymś absurdalnym, żeby kobieta, która całą swoją energię ciała i ducha skierowuje na czuwanie i opiekę nad dzieckiem, musiała dodatkowo wysilać się heroicznym dla seksualnego zaspokojenia mężczyzny. Nie może być tak, że cały ciężar rodzicielstwa spoczywa na kobiecie, a mężczyzna ma bez przerwy wczasy i nieustannie wymaga, by kobieta była do jego usług. Ojcostwo, jeśli jest wysokim zaszczytem, musi się czymś wykazać.

Jest to problem odpowiedniego profilu przygotowania do małżeństwa. Jeżeli małżeństwo pojmuje się jako nieustanne szczęście we dwoje, to każda trudność pojawiająca się, zwłaszcza w związku z przyjściem na świat dziecka, może rodzić poważne problemy, zwłaszcza u mężczyzny, który czuje się wciąż jak „nie dopieszczony” dziecko. Takiemu zjawisku wtórnego infantylności mężczyzny można zapobiec jedynie przez przygotowanie do małżeństwa, które byłoby prawdziwym nowiciatem wprowadzającym w świadomość wspólnego powołania, którego centrum stanowi rodzicielstwo. Nie może być tak, że dziecko pojawia się jak niespodziewany meteor czy kometa, która zakłóca spokojne niebo małżeńskiego dialogu. Mężczyzna musi być w tym narzeczeńskim nowiciacie wprowadzony w sztukę czystości przedmałżeńskiej, aby był zdolny wyrażać swojej żonie miłość nie tylko przez „seks”, lecz także przez wiele innych sposobów, składających się na całość życia rodzinnego. Jeżeli mężczyzna nie potrafi wczuć się osobiście w rolę św. Józefa adorującego Matkę i Jej Dzieciątka, to znaczy, że nie dorósł do ojcostwa.

W książce O. Knotza jest wiele dywagacji na ten temat, jak małżonkowie mają się pocieszać czułością i pieczyotami w trudnym okresie, kiedy „muszą” narzucić sobie wstrzemięźliwość. Tymczasem okresy milczenia seksualnego należą do istoty małżeństwa i powinno się je przeżywać w sposób prosty i naturalny, zachwycając się samą bliskością osoby kochanej, a zwłaszcza tej małej, dopiero co urodzonej, będącej darem Nieba. Małżonkowie powinni mieć świadomość, że okresy postu seksualnego nie są jakąś próżnią aksjologiczną, przerwą w życiorysie i chorobą, której trzeba koniecznie zaradzić przez jakąś formę czułości czy pieczyoty, aby nie doprowadzić do katastrofy. Małżonkowie są dla siebie darem, to znaczy, że mogą przeżyć tę prawdę bycia darem nie tylko w postaci aktu małżeńskiego, ale także przez integralną prawdę bycia dla siebie w wielu sytuacjach, składających się na życie. Prawda miłości sama się objawia, jeśli istotnie jest obecna w sercu osoby ludzkiej. A jeżeli jest konieczne, aby się objawiła przez gest, czy słowo, to sama miłość tworzy ten gest i podpowiada słowo, którego nie trzeba się uczyć w podręcznikach. Autentyczna miłość sama dostrzeże granicę między gestem szlachetnym a nieszlachetnym, między „pieczyotą dozwoloną i niedozwoloną”, ponieważ miłość prawdziwa szuka tylko dobra drugiej osoby i zdecydowanie odrzuca wszelkie czyny będące profanacją świętości małżeństwa (zob. KDK 37. 47).

Sprawdzianem miłości jest gotowość ponoszenia cierpień i ofiar dla osoby kochanej, a nie wyszukiwanie w poradnikach sztuki kochania, czy na przykład „seks oralny” może zastąpić stosunek małżeński i kiedy można go stosować, jeśli „głód seksualny” doskwiera nielitościwie. Uwagi w książce

O. Ksawerego na temat „seksu oralnego” (s. 42) są wielkim nieporozumieniem. Małżonkowie są właśnie tymi chrześcijanami, do których św. Paweł kieruje odezwę w *Liście do Rzymian*: „A zatem proszę was bracia przez miłosierdzie Boże, abyście dali ciała swoje na ofiarę żywą, świętą, Bogu przyjemną, jako wyraz waszej rozumnej służby Bożej. Nie bierzcie więc wzoru z tego świata, lecz przemieniajcie się przez odnawianie umysłu, abyście umieli rozpoznać, jaka jest wola Boża, co jest dobre, co Bogu przyjemne i co doskonałe” (Rz 12,1-2).

W omawianej książce, podobnie jak w wielu tekstach różnych autorów zajmujących się tym zagadnieniem, pokutuje pewien żargon, który się upowszechnił na skutek okoliczności historycznych, w których kształtowała się dyskusja nad etyką rodzicielską. Mianowicie razi tu terminologia „metody” czy „metod naturalnych” w stosunku do przedmiotu, który ma profil ściśle etyczny. Kiedy małżonkowie zadają sobie pytanie, kiedy mogą a kiedy nie mogą sobie pozwolić na przyjęcie nowego życia, nie stawiają pytania o „metodę”, zwłaszcza, gdyby należało rozumieć ją jako „metodę unikania potomstwa”. Pojęcie „metody” ma zastosowanie na terenie medycyny, która służy małżeństwu doskonaląc metody diagnostyczne, pozwalające rozpoznać fizjologiczne uwarunkowania płodności kobiety.

Małżonkowie prawidłowo uformowani duchowo wiedzą, że rodzicielstwo jest powołaniem a nie kaprysem, który można zadowolić zależnie od ochoty. Jest to służba, którą pełnią wobec Boga, Kościoła i Narodu. Kiedy zachodzą okoliczności, które moralnie zabraniają im podejmowanie ryzyka płodności, małżonkowie wiedzą, że nie powinni współżyć w dniach płodnych. Przez to samo jednak nie przestają być małżonkami i nie tracą prawa do przeżywania zjednoczenia małżeńskiego w dniach bezpłodnych. To nie jest w żaden sposób „metoda”, lecz po prostu etyka i przejaw autentycznej odpowiedzialności rodzicielskiej. Pojęcie metody pojawia się logicznie tam, gdzie etykę zastępuje się techniką. Do tego usilnie dążą ci, którzy mają zamiar zredukować życie seksualne (małżeństwo) do rzędu imprezy rozrywkowej, wolnej od relacji do człowieczeństwa. To wszystko rozumieją ci małżonkowie, którzy nie tylko „kochają Boga”, ale także zdają sobie sprawę z tego, że przyjmując powołanie małżeńskie, biorą na siebie obowiązek wyrażony przez Boże Przykazanie: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się i napełniajcie ziemię”. Tego przykazania nie wolno zamieniać na receptę wygodnego i przyjemnego życia. Autor omawianej publikacji używa prawdopodobnie nieświadomie żargonu technicznego mówiąc o „życiu zgodnym z naturalnym rytmem płodności” (s. 126) lub „życiu zgodnym z cyklem płodności” (s. 138), choć wiadomo, że chodzi o życie zgodne z Ewangelią. Trzeba jednak przyznać, że Autor przekonuje czyteln-

ników o konieczności nawrócenia. W związku z tym sporo uwagi poświęca „prawu stopniowości”, które próbowano przeinterpretować na Synodzie poświęconym rodzinie na „zasadę stopniowości prawa”¹.

6. Rozmijanie się problematyki z normą moralności

W problematyce prostowania drogi moralności małżeńskiej O. Ksawery Kntz dużo mówi o warunkach psychologicznych i życiowych, przesuwając jakby na drugi plan przyswojenie sobie prawa moralnego przez małżonków. Profil moralny pewnych zachowań małżonków ulega zaciemnieniu czy zamazaniu przez wyakcentowanie czynników kulturowych czy sytuacyjnych. Przykład tego mamy przy ocenie tak zwanych „zachowań antykoncepcyjnych”. Czytamy: „Zachowania antykoncepcyjne (polegają na dążeniu do uzyskania satysfakcji seksualnej poza pełnym stosunkiem seksualnym) osłabiają relację małżeńską wprowadzając w nią pewną powierzchowność. Środki antykoncepcyjne (prezerwatywa, pigułka hormonalna) jeszcze bardziej fałszują tę relację poprzez zgodę na blokowanie lub modyfikowanie funkcji ludzkiego ciała. Pierwsze wprowadzają w kulturę chrześcijańską mniejsze lub większe zamieszanie, drugie wprowadzają małżonków poza kulturę katolicką, w całkiem inny styl życia. Pierwsze są praktyką «miękkiego» NPR, czyli jeszcze się mieszczą w ramach stylu życia opartym na respektowaniu cyklu płodności i niepłodności kobiety, drugie są całkowitym wyjściem poza drogę prowadzącą ku dojrzałej miłości” (s. 139-140).

Zachowania w przytoczonym opisie znalazły się poza zasięgiem kryteriów moralnych, natomiast widzimy je w relacji do „cyklu płodności”, „kultury”, „stylu życia” i „miękkiego NPR”, co jest doskonałym przykładem zamazywania granicy między dobrem i złem. Podobnie w temacie „ryzykownych czułości” Autor pomija całkowicie ocenę moralną i cały wywód tonie w obfitości uwag psychologicznych, przygotowujących grunt do osądu na temat „okoliczności łagodzących”. Wydaje się, jakby małżonków nie obowiązywała czystość jako cnota, tylko „droga do czystości”, uwikłana w wiele przeszkód i przejściowych etapów (por. s. 142). Podobnie przy ocenie stosunku przerwanej mamy do czynienia z wywodem, który wylicza szereg relatywnych wad i niedoskonałości takiego postępowania, natomiast nieobecna jest ocena ściśle etyczna, najwyżej można się dopatrzeć tu pewnej postaci „etyki skutków”, głównie psychologicznych, czy życiowych. Nawet przy „kazusie” seksu analnego jest mowa tylko o tym, że „nie jest normalnym aktem seksualnym” i że jest szkodliwy dla zdrowia (s. 144). I nic więcej...

¹ Nieporozumienie to wyjaśnił Jan Paweł II w adhortacji apostołskiej *Familiaris consortio* n. 34.

Także w ocenie antykoncepcji Autor zatrzymuje się na kryteriach ontologicznych („wyjście poza swoją cielesność”) i fizjologicznych (funkcje i celowość ciała), co może być przekonujące dla ludzi myślących wyłącznie empirycznie, natomiast nie ma tu nic z tego, co wyjaśnił Karol Wojtyła i co również w swej pracy doktorskiej usystematyzował Marek Czachorowski: w jaki sposób antykoncepcja unicestwia istotę relacji małżeńskiej jako relacji daru osobowego. Podobnie ocena użycia prezerwatywy jest w omawianej publikacji raczej fenomenologiczna niż etyczna, choć na uwagę zasługuje taki oto skrót myślowy: „[Prezerwatywa] dokonuje swoistej inicjacji w mentalność, której źródło jest odległe od Ewangelii” (s. 146). Autor dotyka jednym słowem płaszczyzny intelektualnej („mentalność”) i płaszczyzny wiary („Ewangelia”), lecz nie wchodzi w głębszą analizę zła moralnego, jakie się mieści w praktyce antykoncepcyjnej. Koncentruje się na demaskowaniu skutków tej praktyki, czyli na powstawaniu „bariery między małżonkami”, a więc na „osłabieniu więzi między nimi”, co „uniemożliwia pełne spotkanie osób i rzeczywistą komunie ich ciał” (s. 146). Należy także zwrócić uwagę na pewną nieścisłość: „komunia” małżeńska istnieje nie na poziomie „ciał”, lecz na poziomie (na wyżynie!) osób, jednoczących się z sobą poprzez uczestnictwo w Chrystusie na mocy Sakramentu. To, co się dzieje w ciele, może być oczywiście znakiem tego, co się dzieje w duchu, czyli w osobie ludzkiej. Autor zwraca uwagę na jeszcze jedno ujemne następstwo związane z użyciem prezerwatywy: „Prezerwatywa przeszkadza, pozbawia pełnej przyjemności, uniemożliwia dłuższe trwanie razem w miłosnym zespoleniu” (tamże). Czyżby na tym polegał punkt ciężkości negatywnej oceny prezerwatywy? A jeżeli istota aktu polega na „przyjemności”, to czy można mówić o „miłosnym zespoleniu małżonków, skoro nie ma tu już miłości jako takiej, rozumianej w sensie bezinteresownego daru osoby dla osoby?

Ocena podana przez O. Knotza jest powierzchowna i nieadekwatna. Podobnie szczątkowy charakter ma ocena używania pigułki. Mówi się tu: „Pigułka antykoncepcyjna jeszcze skuteczniej, (choć w sposób bardziej ukryty, bo niewidoczny na zewnątrz), wprowadza w niechrześcijańską kulturę – wyraźnie narusza integralność ludzkiego ciała [...] zmienia rozumienie ciała ludzkiego, jest przyzwoleniem na modyfikację ludzkiej natury stworzonej przez Boga, a tym samym zakwestionowaniem mądrości i miłości Stwórcy. U niektórych kobiet powoduje poważne zagrożenie zdrowia” (s. 148). Punkt ciężkości spoczywa tu na afirmacji ludzkiej natury, która wyraża Bożą mądrość i miłość, a nie mówi się o tym, w jaki sposób odrzucenie Bożej mądrości i miłości niszczy całą istotę powołania rodzicielskiego. Autor wciąż wskazuje na skutki czynów, nie ukazując ich istoty moralnej. Nieco surowiej

ocenia Autor stosowanie spirali, jednak akcentuje głównie skutki fizyczne, choć uczciwie twierdzi, że nie wolno lekceważyć problemu moralnego.

7. Zło moralne – zło fizyczne, a problem współdziałania

Rozumowanie przyjęte przez Autora rodzi jednak nowy problem, ponieważ – prawdopodobnie nieświadomie – Autor schodzi na płaszczyznę „zła fizycznego”. Mówi bowiem: „Trzeba obiektywnie stwierdzić, że w porównaniu do metod wczesnoporonnych stosowanie prezerwatywy jest mniejszym złem fizycznym” (s. 151). Wiedząc, że to „zło fizyczne” oznacza jednak problem moralny, ucieka się do formuły „tolerancji mniejszego zła”. Píše mianowicie: „Nie oznacza jednak, że znika wówczas problem moralny i że nie należy dążyć do uniknięcia także tego zła moralnego, jakie jest związane z użyciem prezerwatywy. Dlatego prezerwatywę można w takiej sytuacji tolerować jako rozwiązanie tymczasowe, warunkowe i wyjątkowe” (s. 151). Osobliwą sprawą jest fakt, że Autor dla poparcia swojego stanowiska powołuje się na 14 n. encykliki *Humanae vitae*, w którym zostaje dokładnie i *explicite* odrzucona hipoteza, jakoby antykoncepcję można było usprawiedliwić w oparciu o zasadę „tolerowania mniejszego zła”. Można „tolerować” zło, które jest niezależne od naszej woli, ale w przypadku antykoncepcji z użyciem prezerwatywy ma miejsce zło, które się „czyni” własną wolą, a w encyklice Papież Paweł VI pisze, że „nigdy nie wolno, nawet dla najpoważniejszych przyczyn czynić zła, aby wynikło z niego dobro” (HV 14).

Wcześniej Papież w tym samym numerze powiedział: „Nie można też dla usprawiedliwienia stosunków małżeńskich z rozmysłu pozbawionych płodności odwoływać się do następujących, rzekomo przekonujących racji: że mianowicie z dwojga złego należy wybrać to, które wydaje się mniejsze”. Papież więc z góry wykluczył możliwość odwoływania się do zasady „tolerancji mniejszego zła” w celu usprawiedliwienia antykoncepcji, ponieważ antykoncepcja jest złem w swojej istocie nie dającym się usprawiedliwić, a po drugie ta „zasada tolerancji” nie pozwala czynić zła, lecz nakazuje je cierpliwie znosić. Niektórzy tłumaczą przewrotnie tę zasadę w sensie „wyboru mniejszego zła”, co jest absurdem, ponieważ nigdy nie wolno „wybierać” zła, lecz należy odrzucać zło w miarę naszych możliwości.

Powolywanie się na encyklikę *Humanae vitae* dla usprawiedliwienia antykoncepcji przez przyjęcie formuły „tolerancji mniejszego zła”, oznacza brak zrozumienia samej encykliki, albo pozostawanie pod wpływem błędnych teorii, które encyklika odrzuca. Autor przyznaje pod koniec tego paragrafu, że „każdy grzech, nawet najmniejszy, jest wyborem drogi w kierunku przeciwnym woli Bożej, jest jakimś odsunięciem się od Niego” (s. 152). Jednak to, co

mówi o „gradacji zła” jest nie jednoznaczne i tchnie relatywizmem. Ten relatywizm dochodzi do głosu także przy problemie „współdziałania w grzechu małżonka” (s. 153-154). Największym złem dla Autora jest nie tyle fakt grzechu, ile pozbawienie niewinnego małżonka radości małżeńskich. Bo jak inaczej zrozumieć to, co pisze: „Nie do zniesienia byłaby sytuacja, gdyby upór w grzechu jednego małżonka i lekceważenie przez niego wymagań etycznych obciążał przez lata sumienie drugiego, albo uniemożliwiał mu radość intymności, bliskość cielesną, pieśczęty i współżycie seksualne” (s. 154). Na marginesie można by zadać pytanie, czy małżonek niewinny byłby zdolny moralnie cieszyć się „radością intymności i pieśczętami”, mając świadomość, że ten, który eksploatuje ciało drugiego małżonka profanuje sakrament, depcze miłość i poniża współmałżonka do roli obiektu lubieżnej manipulacji? Przecież grzech przeciw samej istocie małżeństwa przekreśla cały sens tej relacji, która miała być wyrazem osobowego daru. To już nie jest małżeństwo tylko jego karykatura.

O. K. Knotz znalazł wyjście z tej sytuacji powołując się na autorytet Kościoła (s. 154-155). Podobno „Kościół pozwala” na podjęcie współżycia z małżonkiem, który z rozmysłem powoduje obezplodnienie aktu. Autor powołuje się na *Vademecum dla spowiedników* – dokument, wydany przez Papieską Radę ds. Rodziny. Autor zaznacza, że „nie można się zgodzić na każdy sposób ubezplodnienia”. Dokument ten zezwala na podjęcie współdziałania w grzechu współmałżonka pod warunkiem, że 1. działanie małżonka współdziałającego jest moralnie poprawne od początku; 2. istnieją proporcjonalnie poważne motywy dla wyrażenia zgody na takie współdziałanie; 3. podejmuje się pewne wysiłki w celu nakłonienia współmałżonka do poprawy życia. Warunki te na ogół zgadzają się z tradycją teologiczno-moralną Kościoła, jednak sformułowania *Vademecum* idą w kierunku złagodzenia samych wymagań, co wydaje się bardziej zgodne z duchem czasu, niż z istotą chrześcijańskiego nawrócenia. Polska *Instrukcja dla spowiedników* z 26.01.1971 roku precyzyjniej formułuje, zwłaszcza pierwszy warunek. Mówi o tym, że warunek ten dotyczy właściwie sytuacji, kiedy mąż praktykuje stosunek przerywany, bo tylko wtedy sprawdza się to, że od początku działanie małżonków jest normalne. Następnie czytamy: „W wypadku stosowania przez męża środków antykoncepcyjnych, żona nie tylko nie może formalnie współdziałać przez swą aprobatę dla tej metody, lecz ma obowiązek przeciwstawienia się spełnianiu z nią aktów onanistycznych. Jedyne w ostatecznych przypadkach, dla bardzo poważnych przyczyn (np. groźba porzucenia), może zaniechać sprzeciwu i zachować się biernie. Zachodzi w tych wypadkach fakt przymusu mo-

ralnego, który daje podstawy do zajęcia postawy wyłącznie biernej wobec spełnianego grzesznego czynu współpartnera”.

Rzeczywiście ujęcie podane przez *Instrukcję* z 1971 wydaje się bardziej precyzyjne, gdyż to, co mówi *Vademecum* w pierwszym warunku jest wyraźnie ambiwalentne. Jak może być działanie współmałżonka od początku prawidłowe moralnie, kiedy od początku drugi małżonek w sposób czytelny podejmuje działanie antykoncepcyjne. Kiedy bowiem mąż już od początku jest „zabezpieczony” prezerwatywą, żona zgadzając się na to, już od początku wchodzi we współdziałanie formalne. Dlatego od początku ma obowiązek wyrazić sprzeciw – bo małżonek grzeszy, kiedy zgadza się na grzech współmałżonka. O. Knotz jest wybitnie tolerancyjny, ponieważ pozwala kobiecie, pomimo jej moralnego niepokoju wywołanego grzechem męża, cieszyć się seksualnymi przyjemnościami (s. 156). Nie jest jasne, na jakiej podstawie „zdejmuje odpowiedzialność moralną z żony” w przypadku grzechu męża, aby mogła cieszyć się małżeństwem. To pewnie zostanie tajemnicą Autora.

8. Uwagi końcowe

Interesujące uwagi na temat modyfikacji ludzkiej płciowości (s. 169) w kontekście pewnych tendencji kulturowych opartych na osiągnięciach naukowych, prowadzą całość rozważań ku syntezie. Autor słusznie zwraca uwagę na fakt, że tak zwana „pigulka” spowodowała poważne zmiany w obyczajowości społeczeństw (s. 171n). Znikła granica między leczeniem a modyfikacją natury (s. 173-174), a najgłębszy sens tych procesów przyjmuje postać nowego manicheizmu, w którym człowiek usiłuje urzeczywistnić potrzebę samorealizacji przez uwolnienie się od biologicznych uwarunkowań ludzkiego ciała, zwłaszcza płodności (s. 176-177). Interesujące jest, że dopiero w kontekście tych szerszych refleksji pojawia się ważne sformułowanie dotyczące moralnego zła antykoncepcji (s. 180).

Trzeba stwierdzić, że Autor dotknął tu sedna problemu, kiedy powiedział: „Nawet gdy medycyna osiągnie taką doskonałość, że kolejna generacja środków antykoncepcyjnych na pewno nie będzie szkodliwa, [...] to zostanie jeszcze problem wystąpienia człowieka przeciwko pierwszemu przykazaniu «nie będziesz miał cudzych bogów przede Mną», nie będziesz żył idolami wierząc, że dadzą ci one upragnione szczęście poza wyborem życia danego od Boga”. Autor pogłębia jeszcze swoje twierdzenie: „Decyzja wystąpienia przeciwko konstytutywnym cechom własnego ciała jest aktem nieakceptacji Boga Stwórcy. Zakwestionowaniem Jego mądrości i miłości. Człowiek sam siebie czyni «Bogiem» – autokratozem, który w swojej mądrości uznaje, że jego ciało zawiera jakieś niedostrzeżone przez Boga defekty, pierwotne błędy”.

Człowiek więc uważa za konieczne poprawianie Pana Boga, co jest oczywistym szaleństwem.

Poprzez te ostatnie stwierdzenia Autor stawia problem etyki małżeńskiej wreszcie na płaszczyźnie teologicznej. W rozdziale na temat oceny grzechu śmiertelnego i powszedniego Autor wchodzi w gąszcz problematyki kazuistycznej, która nie pomaga do uściślenia problemu, a raczej wystawia czytelnika na pokusę relatywizmu (s. 189 nn). Wiele ocen tego rodzaju mogłoby mieć uzasadnione odniesienie do konkretnego penitenta przy uwzględnieniu faktycznego stanu jego sumienia. Natomiast podobne zdanie umieszczone w tego typu publikacji, jak omawiana, rości sobie łatwo prawo do bycia sądem rozstrzygającym bezwarunkowo i uniwersalnie, na co nie można się zgodzić. Na przykład, kiedy czyta się, że małżonkowie, którzy „starają się żyć z Bogiem [...] mają przeświadczenie, że ich dążenie do zjednoczenia seksualnego, nie może tak od razu, nagle, zaowocować grzechem śmiertelnym w sferze seksualnej. Żyją w pokoju serca. Pomimo upadków w sferze seksualnej wynikłych ze słabości lub z niewiedzy czują się bliscy Boga. Bóg ich strzeże przed grzechem ciężkim. Nie lekceważą sobie swoich problemów seksualnych, starają się poprawiać (wychodzi im to raz lepiej raz gorzej). Traktują je słusznie jak grzechy powszednie” (s. 198). Tego rodzaju opis duchowej sytuacji może być prawdziwy w odniesieniu do konkretnej pary małżeńskiej, w oparciu o gruntowne poznanie jej sytuacji życiowej, ale nikt nie może sobie tego sądu a priori przypisać, opierając się na radach zawartych w książce O. Ksawerego Knotza.

Konkretna ocena kazuistyczna nie odnosi się automatycznie do innych ludzi jako reguła uniwersalna i obiektywna. Uniwersalne i obiektywne są tylko przykazania Boże, a resztę musi ocenić spowiednik. O. Ksawery Knotz słusznie podkreśla trudności w ocenie grzechów seksualnych ze względu na ich specyfikę. (s. 200 nn). Tym bardziej ważne jest rozeznanie przez spowiednika integralnej sytuacji psychicznej, moralnej i egzystencjalnej penitenta. Jest to dziedzina wyjątkowo trudna tak dla penitenta, jak i dla kierownika duchowego. Konieczne jest więc zawsze światło Ducha Świętego. W sumie książka – poza wskazanymi słabymi punktami – jest pożyteczna dla ludzi naszego czasu. Przy kolejnym wydaniu należałoby ją bardziej „uteologicznić”, redukując zbędny materiał „seksuologiczny”.

ks. Jerzy Bajda